

Algorytm weterana

Może za rok, może za dwa lata, zrekonstruujecie na zaprzyjaźnionym poligonie logarytm stresu pourazowego Weterana Pierwszego, Weterana Drugiego, może też Weterana Trzeciego, a może nawet Weterana Czwartego z pokoju sąsiedniego?

Andrzej Ficowski

Wiesz, co to jest: ma cztery nogi i sto zębów?
Nie wiem. Poprawna odpowiedź brzmi:
Krokodyl.

A wiesz, co to jest: ma sto nóg i cztery zęby?
Tego również nie wiem.

Polscy weterani – brzmi poprawna odpowiedź.

Ten dowcip przypomniał mi się, gdy w czerwcu trafiłem trochę przypadkowo na REKON 2017, czyli Wrocławską Prezentację Grup Rekonstrukcji Historycznej i Pojazdów Militarnych. Takich wydarzeń są już w Polsce setki, jeśli nie tysiące. Często z dobrym budżetem, mecenatem samorządowym, pod patronatem MON-u. Impreza odbyła się na wrocławskim poligonie w Centrum Szkolenia Wojsk Inżynieryjnych i Chemicznych przy ulicy Obornickiej. Nawet trochę się ucieszyłem, że po wielu latach ponownie pojawię się w miejscu tak kultowym, gdzie jako dziecko wraz z rówieśnikami z podwórka przekopywałem całe metry kwadratowe poligonu w poszukiwaniu ukrytych skarbów Wehrmachtu. W pewnym sensie byliśmy już wtedy, w latach 70., pionierską i nieformalną dziecięcą grupą rekonstrukcyjną, tyle że bez budżetu, reklamy i popularności.

Samo widowisko nie zrobiło na mnie specjalnego wrażenia, a amatorzy, przebrani za żołnierzy Armii Krajowej i walczący z Wehrmachtem, zdradzeni po bitwie przez żołnierzy NKWD – bo taki scenariusz wydarzeń rekonstrukcji zaproponowano widzom – jakoś nie potrafili poruszyć we mnie pokładów chociażby współczucia. Na imprezie zaprezentowano również sprzęt wojskowy, odbyły się pokazy strzelania z broni czarnoprowchowej,

Rzymianie miotali włócznią, a policja dała pokaz siły, spektakularnie rozganiając widzów wodnymi armatkami.

Pastwił się nad taką imprezą nie będę.

Jednak z uwagi na miejsce tej rekonstrukcji, w myślach zrekonstruowałem sobie swój pobyt przed laty w Łądku Zdroju, a konkretnie w jednym z pawilonów Wojskowego Szpitala Rehabilitacyjno-Uzdrowiskowego, i w myślach powróciłem do rozmowy z trzema żołnierzami (z tego powodu poczułem, że jestem jednoosobową, niezależną grupą rekonstruującą pewne historyczne wydarzenie swojego życia).

Siedzieliśmy wówczas w pierwszym w Polsce Domu Weterana, w pokoju nr 148. Żołnierze byli elegancko ubrani, milczeli. Wszyscy kuleli. Pierwszy Weteran – zamiast lewej nogi proteza, Drugi Weteran – cały poskładany, Trzeci Weteran – zmiażdżone kolano. Trzeba pamiętać, że czas w Domu Weterana porusza się zawsze wstecz, a czerwcową wrocławską rekonstrukcją pod patronatem wojewody dolnośląskiego również miała charakter retro.

* * *

Stolik, trzy łóżka i wielka łazienka. Piliśmy kawę, czas płynął leniwie, podobnie zresztą jak na wrocławskiej rekonstrukcji. Ośrodek w Łądku Zdroju nigdy by nie powstał, gdyby nie amerykański nalot na Bagdad w 2002 roku. Prawdopodobnie nigdy nie spotkalibyśmy się w Domu Weterana, gdyby nie decyzja prezydenta Kwaśniewskiego o wystaniu



polskich żołnierzy do Iraku. Nieprzygotowanych i bez wiedzy, na jakie piekło się decydują. Podobnie jak autorzy rekonstrukcji historycznych, nieudolnie odtwarzający piekło jednej z bitew II wojny światowej. Tak naprawdę nie wiadomo, dla kogo organizuje się takie imprezy i dlaczego tak powszechnie podkreca się niezdrowy klimat panujący wokół polityki historycznej partii rządzącej i ministra obrony narodowej, któremu może marzyć się już tylko urządzenie rekonstrukcji katastrofy smoleńskiej.

W sumie nie byłoby o czym pisać, gdyby nie rosła obecność w przestrzeni publicznej postaw militarnych, zupełnie niezasadniczych, epatujących przemocą i cierpieniem, wychowujących coraz młodsze pokolenia w duchu fizycznej przemocy. Zjawisko szczególnie widoczne właśnie w rekonstrukcjach, w edukacji i polityce historycznej. Tak naprawdę na naszych oczach odbywa się całkiem inna rekonstrukcja, powiedziałbym, rekonstrukcja życia społecznego, przeradzającego się, z miesiąca na miesiąc, w atrapę życia, którego marionetkowi aktorzy na miarę rekonstrukcyjnych „ról” zaczynają ogółowi narzucać swoją jedynie słuszną narrację. Nawet na ścianach polskich miast murale i graffiti coraz częściej płyną w nurcie historycznej przemocy i kulcie wojny.

Ta zbieżność wydała mi się symptomatyczna dla klimatu ostatnich dwóch lat w Polsce, więc pomyślałem, no dobra, czy wy, rekonstruktorzy tych wszystkich wojennych historii, myślicie o ludziach, którzy stracili zdrowie w tych wojnach? Nazywamy ich dzisiaj

weteranami. Czy pomyśleliście może o rekonstrukcji historii weterana? Czy zaprezentujecie przy wojskowej grochówce i bigosie ludziom, jak jednemu weteranowi urwało pół twarzy, a drugiego weterana wybuch miny prawie przecięła na pół?

Umówiliśmy się, że nie będziemy za bardzo rozpamiętywali przeszłości, że tylko o nią lekko zahaczymy, że powędrujemy śmiało w przyszłość. Wiedziałem, że Pierwszy Weteran dwadzieścia cztery lata temu był w Afganistanie dowódcą plutonu inżynierskiego i wraz ze swoimi ludźmi zajmował się oczyszczaniem pól minowych, że w trakcie jednego z takich rekonesansów wszedł na minę przeciwpiechotną. Wiedziałem też, że pochodzi z Wrocławia, z tej samej jednostki wojskowej, w której teraz oglądam rekonstrukcję historyczną „Kresy 1944”, tuż przy Muzeum Wojsk Inżynierskich i Chemicznych, *de facto* będącym Muzeum Saperów (nazwa własna).

Gdy Pierwszemu Weteranowi wybuch urwał stopę, ten po kilku minutach poczuł przyptyw szczęścia:

– Cieszę się, ponieważ lekarze uratowali mi drugą nogę. Mina przeszła lekko po kości, trochę ją starto, a potem wyrwało mi całą łydkę. Teraz poruszam się na jednej protezie. Miałem szczęście, że już po piętnastu minutach trafiłem do szpitala w bazie wojsk koalicyjnych i po pierwszej operacji obudziłem się w Rammstein. Szybkość ewakuacji sprawiła, że następnego dnia







znalazłem się w Warszawie. I wtedy dotarło do mnie, że prawdziwe wojsko się dla mnie skończyło.

Jego kolega, Drugi Weteran, saper, permanentnie spoglądał przez krystalicznie czystą szybę, jakby szukał zagubionej przed laty rzeczy.

- I po co tyle psikasz na te szyby?
- Już dobra, dobra, przecież nie psikam.
- Jak nie, jak tak?
- Przecież mówię, że już nie psikam – nawrzucał jeden weteran drugiemu weteranowi, a potem trzeci weteran pierwszemu weteranowi.
- W Łądku to chyba tylko tańce, spacerki i zabiegi – zagadałem, żeby rozładować atmosferę.
- A gdzie tam – macha ręką jeden z żołnierzy.
- A „Zdrojowa”? – nie daję za wygraną.
- To nie dla nas – na potwierdzenie swoich słów jeden z żołnierzy podwija nogawkę i wszystko staje się jasne.

Trzeci Weteran na wojnie wysadzał amerykańskie bomby lotnicze, na koncie ma kilkanaście operacji. Zgłosił się na ochotnika, ale niestety był pierwszym, który powrócił z Iraku. W grudniu 2003 roku, niecałe pięć miesięcy od rozpoczęcia misji na pierwszej polskiej zmianie, terroryści zakopali pociski artyleryjskie i radiowo odpalili ładunek. Huk, a potem urwany film. Obumarłe nerwy w nodze to jego wojenna pamiątka. Życie uratował mu saperski nóż, który po uderzeniu potężnego odłamka bomby rozpadł się na kawałki. Gdyby nie ten nóż, trzeci weteran zostałby przecięty na pół, jak drwa rąbane na opał. Prezydent Komorowski w dowód uznania wręczył Trzeciemu Weteranowi „Gwiazdę Iraku”.

* * *

Kolega weteranów, weteran z sąsiedniego pokoju, puka do drzwi – w tym tekście jest to już Czwarty Weteran:

- Co robimy z kluczami? Idę na salę ćwiczeń. Łapię okazję i pytam, jak się czuje Czwarty Weteran:

- Tak, jakbym pochodził z przeszłości. Wszyscy tutaj jesteśmy jak nieznajome wojsko, które zostało pobite przez nieznanego wroga. Przybywają coraz to nowi koledzy, którzy walczą o nieznaną sprawę na nieznanym terenie. Sposoby okaleczenia, jakich doznaliśmy, również okazały się dla nas nieznane. Za długo siedzieliśmy w tym buszu.

Trzeci Weteran korzysta z okazji i opowiada, jak to u nich, weteranów, wszystko jest na miejscu, jak lśnią podłogi, że jest stołówka i sale rehabilitacyjne, w których waga się losy żołnierskich ran i kontuzji, a potem o basenie z sauną, jacuzzi, solarium, wodnych łóżkach z hydromasażem i wibracjami. Grafik pęka w szwach, a cały rok rozłożony jak sieć pająka na siedemnaście turnusów.

- Po ćwiczeniach człowiek czuje się jak nowo narodzony. Każdy z nas ma kilka zabiegów dziennie i po południu wszyscy padamy jak muchy. Zajęcia zaczynamy o siódmej rano i pracujemy aż do obiadu. Potem śpimy jak dzieci. Ale to dobrze, bo w nocy wielu z nas nie może zasnąć. Koszmary i stare wspomnienia wracają ze zdwojoną siłą. Kiedy w Iraku widziałem samotnie stojący stary samochód, automatycznie zaczynałem się obawiać, czy to nie mina-pufapka.



Trzeci Weteran również pamięta, jak jednego z młodych żołnierzy przygniótł samochód, a drugim karabin roztrzaskał głowę. Wtedy w człowieku skacze ciśnienie, serce bije szybciej, i kilka takich „obrazków” dziennie wystarczy, aby organizm się zbuntował. Sam w 2004 dostał w plecy i brzuch, mimo że był w kamizelce kuloodpornej. Aby ujarzmić stare wspomnienia, często żartuje. W Iraku na zlecenie Amerykanów handlował bronią i negocjował z informatorami. Teraz uśmiecha się tylko połową twarzy. Druga część splotęła w zderzeniu wozów pancernych, w którym stracił przednie zęby.

* * *

Minister Obrony Narodowej, w rozporządzeniu z dnia 23 marca 2012 roku w sprawie sposobu dofinansowania pobytu weterana-żołnierza i weterana poszkodowanego-żołnierza w Domu Weterana, określił sposób dofinansowania pobytu weterana żołnierza i weterana żołnierza poszkodowanego. Z rozporządzenia Ministra Obrony Narodowej wynika, że wysokość kwoty dofinansowania ustalana jest według następującego wzoru:

$$W = Ku - DNFZ - O$$

Wyjaśniam: *W* – oznacza wysokość kwoty dofinansowania; *Ku* – to rzeczywisty koszt utrzymania osoby uprawnionej, ponoszony

przez Dom Weterana; *DNFZ* – to kwota otrzymywana na osobę uprawnioną w ramach umowy o udzielenie świadczeń opieki zdrowotnej na podstawie ustawy z dnia 27 sierpnia 2004 r. o świadczeniach opieki zdrowotnej finansowanych ze środków publicznych; *O* – jest to opłata za pobyt ponoszona przez osobę uprawnioną.

Drodzy Twórcy Rekonstrukcji Historycznych!

Opisana w wielkim skrócie relacja z mojego pobytu w Domu Weterana w Łądku Zdroju jest, być może, bardzo ciekawym materiałem na widowisko rekonstrukcyjne w duchu patriotycznym.

Może za rok, może za dwa lata, spokojnie, poczekamy, zrekonstruujecie na zaprzyjaźnionym poligonie logarytm stresu pourazowego Weterana Pierwszego, Weterana Drugiego, może też Weterana Trzeciego, a może nawet Weterana Czwartego z pokoju sąsiedniego? Może zrozumiecie, dlaczego ci panowie pokłócili się w moim tekście o mycie szyby. I opowiecie o tym wszystkim Mamom i Tatam, i ich Dzieciom, aby więcej nie przychodzili na historyczne rekonstrukcje. □

Tytuł artykułu zawdzięczam rozmowie z Krzysztofem Winnickim

Fotografie autora

Opowieści z samotności

Walter Benjamin

Od tłumacza

Krótkie formy literackie Waltera Benjamina są stosunkowo mało znane. Znajdują się w cieniu jego innych znamienitych prac. Trzy drobne i fragmentaryczne *Opowieści z samotności* (*Geschichten aus der Einsamkeit*) powstawały przy okazji jego wyjazdów na Ibizę. Na wyspie przebywał dwukrotnie – raz, wypoczynkowo, między kwietniem a lipcem 1932 roku, a w 1933 od kwietnia do września jako emigrant, kiedy z przyczyn politycznych zmuszony był opuścić Niemcy. Podczas pierwszej wizyty na Ibizie Benjamin opracowywał także m.in. swoje wspomnienia z młodości, które ukazać się miały jako *Kronika berlińska* (*Berliner Chronik*), a ostatecznie posłużyły za materiał do książki *Berlińskie dzieciństwo na przełomie wieków* (*Berliner Kindheit um Neunzehnhundert*). Podobnie jak zapiski jego melancholijnych wędrówek po rodzinnym mieście, także poniższe, drobne i głęboko refleksyjne nowele, wzięły swój początek z przechadzek, błądzenia, podróży i tułaczki. Rezultatem była pełna napięć literatura oparta na wspomnieniu, złudzeniach, zaskoczeniu i fikcji.

Tekst źródłowy, który posłużył za podstawę przekładu: W. Benjamin, *Gesammelte Schriften. Unter Mitwirkung von Theodor W. Adorno und Gershom Scholem*, wyd. R. Tiedemann i H. Schweppenhäuser, t. IV, Frankfurt nad Menem 1972, s. 755-757. (MP)

Mur

Przez kilka miesięcy żyłem w hiszpańskiej skalnej kryjówce. Nosilem się często z zamiarem, by kiedyś przemierzyć okolicę, otoczoną wieńcem ostrych grzbietów i ciemnymi sosnowymi lasami. Wśród nich schowane były wsie; większość nosiła nazwy od imion świętych, którzy w zasadzie mogliby całkiem zaludnić tę rajską przestrzeń. Było jednak lato; ze względu na upał z dnia na dzień odkładałem swoje plany i w końcu chciałem oszczędzić sobie nawet osławioną promenadę prowadzącą na widoczne z mojego okna Wzgórze Wiatraków. Stałem więc na zwykłej przechadzce wąskimi, zacienionymi uliczkami, w których płataninie nigdy nie można było znaleźć się po raz drugi w tym samym miejscu. Pewnego popołudnia wpadłem w tym moim błądzeniu na sklepik, w którym można było dostać widokówki. Miał w każdym razie kilka wystawionych w oknie, a wśród nich fotografię muru miejskiego – takiego, jakich wiele zachowało się w tych okolicach. Nigdy nie widziałem jednak podobnego. Fotograf uchwycił cały jego urok – mur kołysał się po swym krajobrazie niczym głos, niczym hymn rozbrzmiewający przez stulecia swego istnienia. Obiecałem sobie, że nie kupię tej widokówki, dopóki na własne oczy nie zobaczę przedstawionego na niej muru. Swego postanowienia nie zdradziłem nikomu i tym głębiej w nim trwałem, im silniej karta uwodziła mnie swym podpisem: „S. Vinez”. O świętym Vinezie nie wiedziałem wprawdzie nic, ale czy wiedziałem coś więcej o świętym Fabianie, świętych Romanie lub Symfonianie, od imion których nazwane były inne